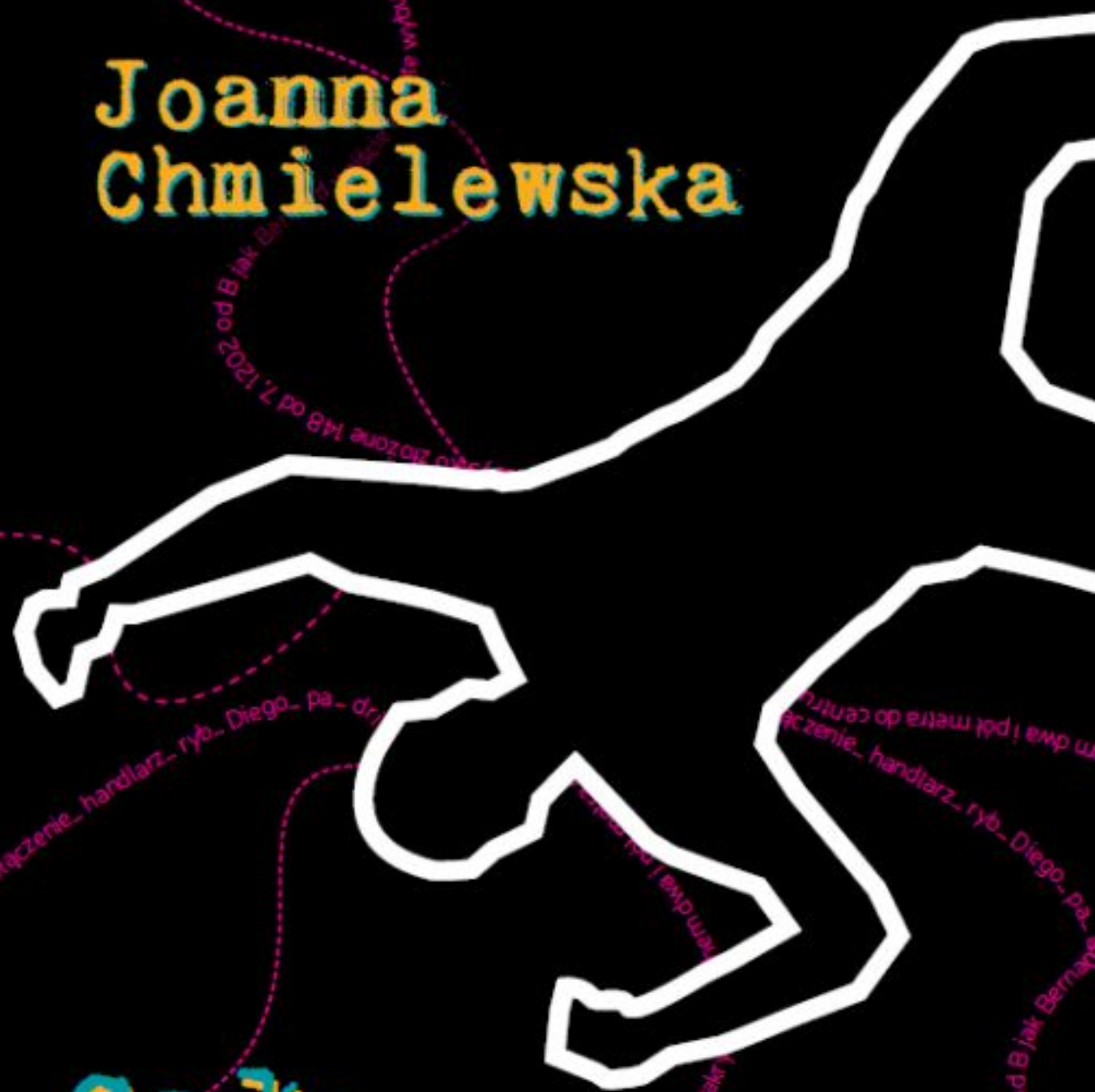


Joanna
Chmielewska



Całe
zdanie
nieboszczyka

Joanna
Chmielewska

Całe
zdanie
nieboszczyka



KLIN

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*
Korekta: *Małgorzata Kot*
Projekt okładki: *Alina Wiszenko-Zabrowarny*
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2014

ISBN 978-83-62136-75-9

Wydawnictwo Klin
Warszawa, ul. J. Sobieskiego 10/72
tel. +48 501 686 786
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Alicja dzwoniła do mnie do pracy codziennie w porze śniadania, bo tak nam obu było najwygodniej. Akurat w ten poniedziałek miała coś do załatwienia, wychodziła na miasto, potem zajął ją szef, potem spieszyła się na pociąg i na spotkanie z Thorkildem, w rezultacie zaniedbała telefon i zadzwoniła dopiero we wtorek.

Na informację Fritza, że mnie nie ma, spytała, kiedy wrócę. Mówiła już po duńsku zupełnie dobrze i bez trudu mogła się porozumieć, nawet używając wyszukanie uprzejmych form. Fritz oświadczył, że nie wie, i na tym prawdopodobnie zakończyłaby się ich konwersacja, gdyby nie to, że, wbrew duńskim zwyczajom, dodał coś więcej. Sama z siebie Alicja o nic by więcej nie spytała, bo już przywykła do Duńczyków.

– Obawiam się, czy nie jest chora – powiedział Fritz mianowicie. – Wczoraj też jej nie było.

To już ją zastanowiło i wdała się w rozmowę, z której wynikało, że moja nieobecność jest co najmniej dziwna, bo primo, przed weekendem byłam zdrowa jak byk, secundo, nikogo o niczym nie zawiadomiłam, tertio, wiedziałam, że jest mnóstwo roboty, i nawet zobowiązałam się skończyć parę rysunków w ciągu trzech dni, a zawsze byłam pod tym względem szalenie porządna i słowna.

Tymczasem rysunki leżą na stole niedokończone, a mnie nie ma. Nad wyraz dziwne.

Nieco zaniepokojona Alicja zadzwoniła do mnie do domu, gdzie nikt nie odbierał telefonu, co jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogłam wyjść nie wiadomo dokąd, a moja gospodyni była w pracy. Zadzwoniła więc późnym wieczorem i dowiedziała się, że mnie nie ma, gospodyni nie widziała mnie na oczy od niedzieli, w moim pokoju zaś panuje normalny bałagan.

Nazajutrz znów zaczęła dzwonić, zaniepokojona znacznie więcej. Nie było mnie nigdzie. Na noc do domu nie wróciłam. Nikt o mnie nic nie wiedział. Zainterpelowana Anita okazała zdziwienie i zdenerwowanie, bo na wtorek byłam z nią umówiona, nie przyszłam, nie dałam znaku życia, a tłumaczyła moją książkę, na której mnie zależało jeszcze bardziej niż jej. Cały wieczór tłumaczyła sama, była wściekła, dzwoniła nawet do mnie, ale mnie, oczywiście, nie było.

Alicja zaczęła się zastanawiać.

W wyniku rozważań przyszła do mnie w czwartek wieczorem, po pracy. Pokonwersowała z gospodynią, obejrzała moje rzeczy, wbrew samej sobie przeczytała tkwiący w maszynie kawałek listu do Michała, nic jej to nie dało, bo kawałek zawierał głównie wątpliwości, czy Florens przyjdzie z dystansu 120 metrów, napiła się kawy, posiedziała przy stole i nic nie wykryła. Gach wydawał jej się wątpliwy, ale na wszelki wypadek wołała jeszcze nie alarmować Diabła. Zakwitły w niej natomiast podejrzenia, że mogłam znieśc oszaleć i w przypływie szoku pojechałam do Polski, tak jak stałam, bez rzeczy, bez pieniędzy, bez dokumentów, które leżały w szufladzie biurka, bez deklaracji celnej, bez niczego,

wyłącznie z gołym paszportem. Obdzwoniła wszystkie szpitale, pogotowie, straż pożarną i policję. Nikt o mnie nic nie wiedział, kamień w wodę.

Ostrożnie i dyplomatycznie zadzwoniła do Warszawy, do swojej przyjaciółki, polecając jej zbadać, czy mnie tam przypadkiem nie ma. Nie było. Przeciwnie, moja rodzina dostała właśnie list, w którym zawiadamiałam, że wracam za kilka miesięcy. Przeczekała jeszcze jeden dzień i wreszcie zdecydowała się zawiadomić kopenhaską policję, że jej przyjaciółka, rodem z Polski, zginęła.

Policja się uprzejmie zainteresowała, najpierw łagodnie, a potem nieco żywiej, wieść doszła bowiem do inspektora Jensena, który mnie znał osobiście. Niezbyt blisko, ale dostatecznie, żeby wiedzieć, że miewam głupie pomysły. No i zaczęła dociekać, kto też mnie ostatni widział i gdzie.

Jako ostatnia ze znajomych osób widziała mnie gospodyni. W niedzielę przed południem wychodziłam z domu akurat, jak ona czyściła dywan w przedpokoju. Na pytanie, dokąd też mogłam się udać, Alicja bez sekundy wahania powiadomiła gliny, że nigdzie indziej, jak tylko do Charlottenlund. Gliny ruszyły moim śladem do Charlottenlund, przy czym znacznym ułatwieniem był dla nich fakt, że właśnie znów nastąpiła niedziela i wytworzyły się warunki dokładnie takież, jak tydzień wcześniej, innymi słowy, znów leciały konie i tor był zapchany tłumem.

Najpierw złapano Małego Łysego w Kapeluszu, który, czas jakiś temu odsiedziawszy swoje, wyasygnował pewną kwotę tytułem kary i od dawna już cieszył się wolnością. Żadnej niezyczliwości ku mnie nie przejawiał, co było dziwne, ale niezbitie stwierdzone. Bez śla-

du oporów oświadczył, że owszem, widział mnie tydzień temu, rozmawiał ze mną, robiłam wrażenie osoby zadowolonej z życia, wygrałam bowiem nieco pieniędzy. Parę patyków. O ile pamięta, cztery tysiące szesnaście koron. Każdy by był zadowolony. Rozmawiałam z innymi osobami, oczywiście, sam widział, tu jest nawet takich dwóch, z którymi bardzo często rozmawiam. Rozmawiałam i tym razem, a co dalej, to on nie wie.

Złapano więc dwóch, obu rodem z Francji. Potwierdzili, że istotnie, coś tam wygrałam, możliwe, że dużo, rozmawiałam z nimi, mamy przecież wspólny język, a co dalej, to nie wiedzą. Udzielali informacji skąpo i niechętnie i gliny zaczęły coś węszyć. Węsząc tak, złapano jeszcze jednego, który mnie znał wprawdzie tylko z widzenia i nie rozmawiał, ale za to zwracał na mnie uwagę, bo mu się zwyczajnie podobałam. Nie wiadomo dlaczego, lubi takie, może ma spaczony gust, podobałam się i koniec. Ów ze spaczonym gustem zaświadczył, że z Francuzami rozmawiałam pod koniec i razem z nimi wyszłam. On też wychodził i widział, jak w ich towarzystwie wsiadałam do jakiegoś samochodu, a co dalej, to on nie wie. Bardzo żałuje, że mnie dzisiaj nie ma.

Przyciśnięci do muru Francuzi zaczęli kręcić, na zmianę twierdzili, że podwieźli mnie do stacji, że wysiadłam w śródmieściu Kopenhagi, że to był ich samochód, nie ich samochód, jednego znajomego, jednego nieznanego, i w końcu tyle na tym zyskali, że inspektor Jensen zainteresował się gwałtowniej. Gliny dostały nagłego popędu, nałapano więcej świadków, ludzie na wyścigach na ogół się znają z widzenia, a ja, cudzoziemka, dawałam się zauważyć, no i wreszcie zidentyfikowano samochód.

Był to pojazd jednego takiego, na którego już od dawna mieli oko.

Pan Jensen wkroczył do akcji osobiście, co szalenie zdziwiło Alicję, zdążyła się już bowiem zorientować, że jest on jakąś nadzwyczaj ważną figurą, a nigdy nie przypuszczała, żeby któraś z nas mogła być do tego stopnia interesująca dla duńskiej policji. O żadnym moim piramidalnym przestępstwie nic nie wiedziała, nic takiego też nie miałam w planach, więc niby skąd? Pan Jensen jednak wiedział, co robi.

Przyciśnięci znacznie mocniej tak Francuzi, jak właściciel pojazdu, wyznali wreszcie prawdę. Trudno, nie da się ukryć, rzeczywiście pojechałam z nimi do takiej jednej meliny, gdzie się nielegalnie gra w pokera i ruletkę. Wstęp zapłaciłam ze śpiewem na ustach, grałam w ruletkę, zdaje się, że nawet wygrałam, zdaje się, że nawet dość dużo, widocznie miałam szczęśliwy dzień, a potem jakoś stracili mnie z oczu. Sami przegrali i wcześniej wyszli, a ja chyba jeszcze zostałam. W końcu w takim miejscu każdy się raczej zajmuje sobą, zwłaszcza jeśli mu coś nie idzie. A gdzież to ta melina? A w takiej jednej starej chałupie na Niels Juels Gade, blisko kanału.

W tym momencie w umysłach wykonawczej władzy dokonały się wreszcie pewne skojarzenia i panem Jensem niewymownie wstrząsnęło.

Już od dość długiego czasu w ścisłym porozumieniu z Interpolem przygotowywał imponującą akcję likwidacji nie mniej imponującego gangu propagatorów hazardu. Uderzenie miało być załatwione jednorazowo we wszystkich miejscach naraz w paru krajach Europy, planowano wyłapanie wszystkich grubych ryb i konfiskatę całego ich mienia. Oweż to właśnie niedzieli dokonano

w ramach akcji nalotu na melinę przy Niels Juels Gade. Nie było to jeszcze zasadnicze uderzenie, tylko niejako wstępna przygrywka, niemniej nalotu dokonano, melinę nakryto na gorącym uczynku, znaleziono w niej nawet jedne świeże zwłoki, lokal zamknięto, rozpusztę ukrócono i w rezultacie oni sami, policja, powinni o mnie wiedzieć najwięcej. Tymczasem chała, nie wiedzą nic, nie została tam złapana. Co gorsza, akcja-nalot potwierdziła podejrzenia, iż we własnym łonie mieli członka szajki, co zresztą przypuszczali od dawna. Same przykrości. Niejaką pociechą była im myśl, że nie oni jedni. Przytomna szajka, ściśle zaś rzecz biorąc, potężna, międzynarodowa organizacja przestępcza, ze szczególnym upodobaniem działająca tam, gdzie hazard jest wzbroniony, czyli prawie wszędzie, miała swoich ludzi we wszystkich policjach wszystkich krajów, do których tylko udało się im dokopać. Pociecha to była nikła, zwłaszcza że członek szajki, na którego głównie polowano, dał nogę, wszystkie grube ryby prysnęły, a zwłoki nie chciały nic mówić. Złapane cienkie ryby oraz zwyczajni gracze wyznali, że owszem, widziano mnie tam, dało się mnie jakoś szczegółowo określić, grałam, potem nastąpiło okropne zamieszanie i co dalej, to nie wiedzą.

W ten sposób wpadłam jak kamień w wodę i wszelki ślad po mnie zagaął.

* *
*

Ja oczywiście doskonale wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, ale w żaden żywy sposób nie mogłam nikomu dać znać o sobie. Działo się bowiem, co następuje:

W poprzedzający ową dramatyczną niedzielę piątek nabyłam sobie wreszcie od dawna wymarzony, przepiękny atlas świata za bardzo drogie pieniądze i przez głupie zapomnienie zostawiłam go w biurze. Zostawiłam też siatkę, wiszącą na wieszaku, a w siatce słownik polsko-angielski oraz do połowy wykonany szydełkiem szal z białego akrylu. Te dwa ostatnie przedmioty pochodziły stąd, że na ubiegły czwartek byłam umówiona z Anitą, która nawaliła i przełożyła spotkanie na wtorek, nie nosiłam więc tego z powrotem do domu, tylko zostawiłam w pracy. A w ogóle miałam to dlatego, że Anita tłumaczyła moją książkę, słownik był nam potrzebny przy pracy twórczej, zaś szal robiłam sobie w trakcie. Ona miała zajęte ręce i umysł, ja tylko umysł, rękami więc posługiwałam się w innych, pożytecznych celach. Słownik był ciężki i nie chciało mi się latać z nim tam i z powrotem.

Wiszące na wieszaku szal i słownik nie obchodziły mnie wcale, natomiast pozostawienie w biurze atlasu zdenerwowało mnie nad wyraz. Właśnie przez weekend chciałam go sobie pooglądać, nie mówiąc już o tym, że tak drogą i tak intensywnie wymarzoną rzecz chciałam mieć blisko siebie, patrzeć na nią od czasu do czasu i w ogóle czuć, że ją mam. Postanowiłam więc zabrać atlas z biura w niedzielę, po drodze do Charlottenlund, i to jeszcze w dodatku jadąc tam, a nie z powrotem, obawiałam się bowiem, że o późniejszej porze zewnętrzne drzwi budynku mogą być zamknięte.

Postanowienie wykonałam. Atlas wlaźł do siatki z wielkim trudem, ale jednak wlaźł, tyle że razem ze słownikiem stanowił już potworny ciężar. W Charlottenlund zostawiłam go więc w szatni. Bałam się, że potem znów o nim zapomnę, cały czas powtarzałam sobie:

odebrać siatkę, odebrać siatkę, umysł miałam tym nieco rozproszony i wyłącznie dzięki temu wygrałam.

W piątej gonitwie przewidywałam fuksa. Czekałam niecierpliwie na tę piątą gonitwę, bo przedtem przychodziły same faworyty, aż wstręt brał. Na te faworyty w drugim lobie wygrałam nawet sześćdziesiąt osiem koron, ale co to jest! Taka wygrana to wręcz hańba dla polskiej duszy. Protest mojej polskiej duszy przeciwko hańbie wyrażał się zresztą w ten sposób, że oprócz faworytów grałam też porządek 6-4, w każdym biegu, jak leci. Ściśle biorąc, nie wiadomo dlaczego. Chyba dlatego, że kiedyś przed laty, obydwójce z Michałem mieliśmy okropnego pecha do porządku 6-4 i nigdy nie udało nam się go trafić. Postanowiłam trafić teraz i obstawiałam go niezależnie od tego, czy miał jakiś sens, czy nie. W piątym lobie typując konie zapomniałam o sześć cztery i doszłam do wniosku, że nie ma siły, muszą przyjść te z drugiej kupy. Tablica na środku pola wykazywała co prawda niezbitcie, że pół toru było takiego samego zdania, nieco mnie to mąciło, bo z jednej strony wszyscy to grają, a z drugiej ma być przecież fuks, rozum jednak upierał się przy swoim. Wybrałam sobie z drugiej kupy te najmniej grane i stanęłam w ogonku do kasy.

W ogonku zaś zaczęłam sobie na nowo powtarzać: odebrać siatkę, odebrać siatkę. Rezultat był taki, że w momencie dotarcia do okienka zapomniałam, co miałam grać. Chwila była gorąca, konie chodziły po starcie, za mną kłębił się rozjuszony i poganiający mnie tłum, facet w kasie niecierpliwie czekał, spłoszyłam się i wrzasnęłam bezmyślnie:

– Sześć cztery!

Natychmiast potem pamięć mi wróciła i zdążyłam wyasygnować dodatkowe dewizy na uprzednio upatrzone porządki.

Siedząc pomimo lodowatego wichru na otwartej trybunie, w osłupieniu patrzyłam, jak przychodzi moje sześć cztery. Zamurowało mnie na ten widok, zbaraniałam całkowicie i szcękając zębami tak z zimna, jak z emocji, dosiedziałam aż do ogłoszenia pojedynczych wyplat. Dopiero potem zesłam, w upojeniu wysłuchałam wychrapanej przez głośnik informacji, że wygrałam cztery tysiące szesnaście koron i zaczął ode mnie bić niewątpliwy blask.

Po drodze do kasy spotkałam Małego Łysego w Kapeluszu. Melancholijnie pokazał mi bilet opiewający na 6-12, więc wyraziłam mu swoje współczucie. Rzeczywiście, przyszło po kolei 6-4-12 i ta dwunastka była za czwórka o krótki pysk. Następnie pokazałam swój bilet, Mały Łysy, na którym, o ile wiem, żadne straty finansowe nie mają powodu robić żadnego wrażenia, wyraził mi swoje uznanie i złożył gratulacje, po czym odebrałam pieniądze.

Następnie nabyłam sobie flaszkę piwa i z tą flaszką w garści ruszyłam w tłum. Humor mi się zrobił taki więcej szampański, w sercu zaś szalała życzliwość do świata. Od razu natknęłam się na znajomych Francuzów, z których jeden był biały, a drugi czarny i z którymi konwersowałam przy każdej okazji w celu podniesienia na wyższy poziom znajomości ulubionego języka. Od razu też przypomniałam sobie, że kiedyś mówili coś o nielegalnej ruletce.

– Absolutnie wyjątkowa okazja! – oświadczyłam radośnie. – Mam pieniądze!

– Wygrała pani? – zaciekawili się Francuzi.

– Trafiłam te sześć cztery. To jak z tą ruletką? Dziś można?

– Codziennie można – mruknął bielszy, patrząc na prezentację koni. – Zagraj mi wszystko do siódemki, ona kiedyś wreszcie musi przyjść...

Czarniejszy kiwnął głową i oddalił się w kierunku kasy, a bielszy odwrócił się do mnie.

– Chce pani? Poważnie? Pani wie, że to jest nielegalne?

– Pewnie, że wiem. Chcę bezgranicznie!

– Wstęp kosztuje pięćdziesiąt koron.

Chlapięłam sobie piwa z flaszki i też kiwnęłam głową.

– Bardzo dobrze, gdyby było darmo, to byłoby podejrzane. Dla mnie to unikalna okazja, najwyżej przegram to, co dziś wygrałam. Chcę!

– Nie wolno o tym nikomu mówić – ostrzegł jeszcze Francuz. Przysięgłam tajemnicę i uzgodniliśmy chwilę i sposób udania się do miejsca rozpusty.

Siatkę z szatni przezornie odebrałam przed ostatnim biegiem. Po biegu, w którym szczęśliwie nikt z nas nic nie wygrał, tak że nie trzeba było czekać na wypłatę, wszyscy troje, Francuzi i ja, wsiedliśmy do kobyłastego forda. Prowadził jakiś całkowicie mi obcy facet, którego nie znałam nawet z widzenia. Uznałam, że musi to być zapewne jeden z duńskich milionerów, mających zarezerwowane stoliki w sali restauracyjnej, gdzie rzadko bywałam i dlatego mogłam nie znać jego gęby. Zresztą w ogóle nie zaprzętałam sobie głowy tą kwestią, co on mnie w końcu obchodził, po piwie i po jeszcze jednej, średniej wygranej byłam w stanie szczytowej euforii.

Nie zwracałam także uwagi na to, dokąd jedziemy, w słusznym mniemaniu, że w Kopenhadze trafię do domu z dowolnie obranego miejsca. Mignął mi w oczach Kongens Nytorv i zaraz potem zatrzymaliśmy się w spokojnej, cichej ulicy, przed dużym, starym, ciemnym domem. Ciekawiło mnie tylko, czy pójdziemy do piwnicy, czy na dach.

Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Przeszliśmy przez podwórze, towarzyszący mi panowie zadzwonili do jakichś drzwi, odezwała się instalacja, powiedzieli kilka słów po duńsku, weszliśmy do jakiegoś holu i oczywiście wjechaliśmy windą na trzecie piętro. Tamże znów były drzwi, znów dzwonek, znów kilka słów po duńsku, chwila oczekiwania i wpuszczono nas do środka. Jakiś osobnik z uprzejmym ukłonem pobrał od nas opłatę w wysokości pięćdziesięciu koron od łba.

Środek wyglądał na oko jak zwyczajne, bardzo duże mieszkanie w starym budownictwie, tyle że goście nie rozbierali się w przedpokoju, a w pełnej odzieży wchodzili dalej, w głąb, na salony.

Moja pełna odzież sprawiła, że od razu poczułam się nieco nieswojo.

Jeżdżąc do Charlottenlund byłam nastawiona na spędzenie wielu godzin na otwartej trybunie. Duński klimat nader rzadko przypomina Florydę. Ubierałam się więc we wszystko, co popadło, i tym razem miałam na sobie wełnianą spódnicę w kratkę, bluzkę z golfem z angory, sweter z angory, za przeproszeniem ciepłe majtki, rajstopy, palto na futrze, kozaczki i wełniany szalik. Z całą pewnością nikt w całej Danii nie był tak ubrany, bo według kalendarza nadeszła już wiosna, a Duńczycy wierzą w słowo pisane. Na głowie zaś miałam platynową perukę i czarny, skórzany kapelusz.

Perukę kupiłam niedawno i dotąd jeszcze nie miałam okazji się w nią ubrać. Pobyt na wyścigach również co prawda nie był najstosowniejszą okazją, ale od rana mężczył mnie pewien problem. Coś na tę głowę musiałam przecież włożyć, a do wyboru miałam tylko bułgarską, futrzaną czapę albo ten skórzany kapelusz. W samym kapeluszu byłoby mi za zimno, w futrzanej czapie czułam się nieco głupio, robiła wrażenie, jakbym się wybierała na biegun północny, a akurat tego dnia była ładna pogoda, uznałam więc, że najlepsza będzie peruka, która grzeje, i kapelusz, który na niej świetnie siedzi. No więc miałam tę platynową perukę, stosowny do niej makijaż, wykonany już zupełnie odruchowo, i to wszystko razem okazało się moją zgubą.

– W tym pokoju jest poker, ruletka jest w następnym – powiadomił mnie Francuz. – Niech pani nigdzie nie zostawia swoich rzeczy, tu trzeba być przygotowanym na szybkie wyjście.

Błysnął zębami w przepraszającym uśmiechu i natychmiast znikł mi z oczu przy którymś stole. Udałam się do następnego salonu, gdzie istotnie działała ruletka, a nawet dwie. Przy jednej akurat zwolniło się miejsce, które czym prędzej zajęłam, odpięłam, co mogłam, palto zdjęłam i narzuciłam tylko na ramiona, torbę i siatkę ulokowałam sobie pod nogami i rozejrzałam się dookoła. Pomieszczenie robiło wrażenie dość dokładnie wypełnionego tak ludźmi, jak dymem. Najbardziej śmierdziały cygara, a kopały fajki. Światło padało wyłącznie na blaty stołów, wokół panował półmrok. Publiczność stanowili prawie sami mężczyźni, starszek naliczyłam zaledwie cztery, co, jak na Danię, było ilością zdumiewająco nikłą. Możliwe zresztą, że było ich wię-

cej, ale nie zdążyłam tego stwierdzić, bo zajęłam się czym innym.

Zamierzałam poczekać i popatrzeć, jak to chodzi i które numery wygrywają. Zamiar nader chlubny, tyle że realizacja mi nieco nie wyszła. W trwającym ciągle stanie upojenia, zanim się zdążyłam obejrzeć, postawiłam dwadzieścia koron na czternaście. Teoretycznie minimalną stawką było pięć koron, ale nikt takiego czegoś nie stawiał. Najmniejsze, co widziałam, to były dwie dziesiątki, wobec czego w obawie kompromitacji zaczęłam od tych dwudziestu, postawiłam je na czternaście, nie wiadomo dlaczego, i czternaście wyszło.

Natychmiast zaczęłam mieć następny problem. Aż się dziwię, że mi to nic nie dało do myślenia, cały dzień, pełen z jednej strony niezwykłego szczęścia finansowego, a z drugiej idiotycznych problemów! Powinnam była przewidzieć, że coś z tego będzie.

Problem polegał na tym, że w Charlottenlund wypłacili mi wygraną setkami, bo akurat nie mieli w kasie pięćsetek, a mnie w owym momencie było wszystko jedno. Torbę miałam wypchaną pieniędzmi po dziurki w nosie, oprócz tego była wypełniona tysiącem rozmaitych śmieci i teraz nie miałam gdzie umieszczać dalszych dóbr. Gra odbywała się na gotówkę, krupier podsunął mi drobne, postanowiłam te drobne szybko przegrać i potem się zastanović.

Udało mi się upłynnić połowę, kiedy postawiłam równocześnie na czarne, parzyste, oraz cztery numery razem. Wyszło wszystko, to znaczy z czterech numerów wyszedł tylko jeden, bo nie było to miejsce święte i cuda się tam nie zdarzały, i znów dostałam kupę drobnych. Cztery razy z rzędu wygrałam na nieparzyste, krupier za-

czął mi już wypłacać grubsze, po czym znowu szarpnęłam się na numer. Sto koron drobnymi postawiłam na ósemkę i ósemka wyszła. Nie było siły, coś z tym musiałam zrobić, zaczęłam więc wpychać pieniądze do siatki, obok atlasu. Siatka nie była siatką z siatki, tylko siatką z tkaniny i nadawała się zupełnie nieźle. Te drobne mnie ciągle denerwowały, stawiałam je na co popadło, prawie nie licząc, i uporczywie wygrywałam. Istna klątwa!

Wreszcie wzięłam się na sposób, a przynajmniej tak mi się wydawało. Postawiłam garść tego na czerwone, potem się okazało, że było to sto dwadzieścia koron, i tak zostawiłam, z nadzieją, że kiedyś wreszcie przepadnie. Czerwone wychodziło, a ja stawiałam nadal, równocześnie przeliczając to, co miałam w rękach i na kolanach, i układając setkami. Należy zauważyć, że w Danii banknot dwudziestokoronowy nie istnieje, bilon kończy się na pięciokoronówkach, potem zaś są dziesiątki, pięćdziesiątki, setki i pięćsetki. Dziesiątkami mogłam już wypełnić bez mała wór po kartoflach, grubsze banknoty plątały mi się w tym też dość obficie i razem wzięwszy uznałam, że wciąż jestem wygrana. Czerwone wychodziło z podziwu godnym uporem, zważywszy głupią sumę, jaką postawiłam, krupier wraz z grubszymi wciąż podsuswał mi i drobne, bo liczył uczciwie i w końcu zgubiłam się w tym do reszty. Zrezygnowałam z walki z drobnymi, zgarnęłam wielką kupę pieniędzy z czerwonego, które od tej chwili przestało wychodzić i zaczęłam stawiać te dziesiątki poukładane w setki. Dwukrotnie trafiłam numer, wypłacił mi na szczęście grubszymi, to znaczy pięćsetkami, które od razu wepchnęłam do siatki, stawiałam dalej pilnując, żeby jednak raczej pozbywać się tych dziesiątek, podniosłam stawkę, znów wygrałam i tak byłam

w tym wszystkim zagmatwana, że w ogóle nie widziałam, co się dzieje dookoła. Gorąco mi było jak piorun, kapelusz mi się przekrzywił, peruka prawdopodobnie też, cud boski jeszcze, że przynajmniej nie miałam parasolki, bo te torby pod nogami ciągle mi ktoś kopał, możliwe, że ja sama, gdybym jeszcze usiłowała pilnować parasolki, to bym już zupełnie zwariowała. Znów trafiłam numer, ściśle biorąc, to była dziewiątka, na którą postawiłam dwieście koron, schyliłam się, żeby upchnąć w siatce siedem tysięcy grubszymi, i wtedy właśnie wybuchło zamieszanie.

Krzyki w okolicach drzwi usłyszałam jeszcze z głową pod stołem. Wyjęłam ją czym prędzej i ujrzałam, że wpadają jacyś faceci, dwóch albo trzech, nie byłam pewna. Gra w tym momencie uległa przerwaniu, od sąsiedniego stołu poderwał się blady osobnik z dzikim wyrazem twarzy, pianę toczył z pyska, a w oku mu szaleńczo błyskało, zrobił się nagły ruch, drugimi drzwiami wpadł oddzielnie pojedynczy facet, rozglądając się, spojrzałam akurat na niego i on spojrzał na mnie. Oblicze mu się jakby rozpromieniło i ruszył wyraźnie w moim kierunku z pewnymi trudnościami, bo ludzi była kupa, pomieszczenie, acz duże, to jednak ograniczone, a wszyscy z nagłą zaczęli latać w rozmaite strony w sposób zupełnie nieorganiczny. Sama na razie nie leciałam nigdzie, zdążyłam tylko pomyśleć, że jeśli to gliny, to odbiorą mi jeszcze te uczciwie wygrane sześć cztery z Charlottenlund, zdenerwowałam się nieco, po czym natychmiast pocieszyłam się, że w razie czego Mały Łysy zaświadczy. I w tym momencie padły strzały.

Strzelał ów blady z pianą na ustach i szaleństwem w oku. Między innymi trafił w lampę z metalowym klo-

szem, lampa się nie stłukła, tylko zaczęła się dziko huśtać. Ci, którzy wpadli, chwycili go w objęcia, on strzelał dalej w różnych kierunkach, wrzaski się wzmogły, razem wzięwszy zrobiła się sodoma i gomora, większość osób rzuciła się pod stoły i zdaje się, że tylko ja jedna trwałam nieruchomo na swoim miejscu. Nie z nadmiaru odwagi, broń Boże, a wyłącznie dlatego, że zbaraniałam gruntownie i całkowicie.

Wybałuszonymi oczami patrzyłam na scenę jak z sensacyjnego filmu. Ów jeden, który uprzednio dążył w moim kierunku, nagle się zatrzymał, zrobił jeszcze dwa kroki, droga przed nim opustoszała, bo większość hazardzistów siedziała już pod meblami, chwilę postął, po czym ugiął kolana i runął łbem naprzód wprost pod moje nogi. Padł jakoś bardzo niewygodnie, więc, pomimo zbarania, wiedziona zwykłymi, ludzkimi uczuciami, przyklęknęłam i usiłowałam trochę mu pomóc. Przynajmniej przemieścić mu głowę ze stołowej nogi na moją siatkę wypchaną papierem, więc miękką. On zaś łapał powietrze i wyraźnie usiłował coś powiedzieć.

– Écoutez!... – wycharczał, z czego wywnioskowałam, że zamierza mówić po francusku.

– Dobrze, dobrze – odparłam. – Nic nie mów, spokojnie...

– Écoutez! – powtórzył z jękiem i dalej ciągnął z wysiłkiem i z przerwami: – Wszystko... złożone... sto czterdzieści osiem... od siedem... tysięcy... dwieście... dwa... od be... jak Bernard... dwa i pół metra... do centrum... wejście... zakryte... wybuchem... powtórz...

Wydychał to z siebie jednym ciągiem, więc w pierwszej chwili nie zrozumiałam, że ostatnie słowo jest poleceniem dla mnie. On się wyraźnie zdenerwował.